

Zwycięzca konkursu na nowohuckiego obieżyświata wszech czasów, lekarz internista Maurycy, choć specjalista od śródjelicia, to lelum polelum, zharowany całotygodniowym nicnierobieniem komfortowo pólleżał obok ponadstusiedemdziesięciosiedmioipółrocznej [też: ponad 177,5-rocznej] sekwoi, wachlując się sążnistą gałązką szałwii. Spod rosnącej nieopodal choi dobiegało mru mru pół persa, pół dachowca, starego huncwota, który wychłęptawszy półkwaterek kumysu legł zmorzony snem. W przyparkowym stawie pod liśćmi rzęśli skrzeczały żaby, a nad nimi huczała ptasia hałastra. Znad akwenu dochodziły śmichy-chichy rozwrzeszczanych hultajów, progenitury jaśniepaństwa burmistrzostwa. Po listkach funkii wędrowały chyżo chrząszcze mrzyki. Przy grządce z rzeżuchą, chrupiąc szcerstwiały pumpernikiel, hasały rozbisurmanione bachorki z gołymi rzyciami, kilkunastomiesięczne fafelki.

W tym ze wszech miar idylliczno-sielankowym nastroju rozmarzony Maurycy planował superpodróż, w którą tuż po sylwestrze, w Nowy Rok zamierza czmychnąć z nowo poślubioną herod-babą. Na równik nie wyruszą, bo wcześniej by musieli się nauczyć suahili. Na pustynię Gobi – też nie, bo jeśliby się tam wybierali, to łazikiem, a oni dysponują jedynie ohydnyminibusem, starym rzęchem. Na półwysep Alaski mogliby dopłynąć przez Morze Beringa tużpowojennym, lecz wciąż nierzężącym, kutrem, ale zanimby tam dotarli, zamarzliby niechybnie na kość. No, ale dokądś trzeba by pojechać ...